

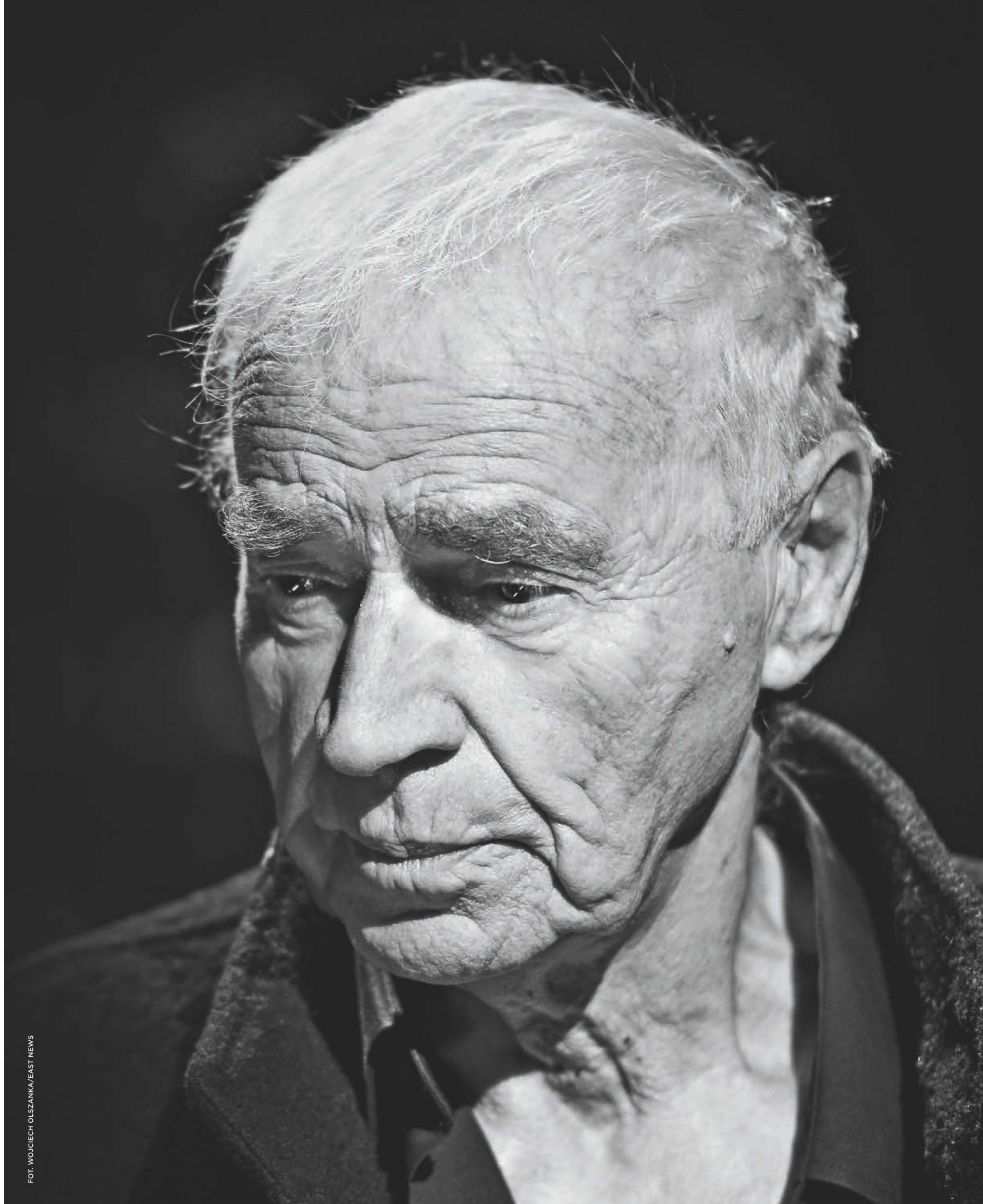
JANUSZ GŁOWACKI (1938-2017)

ZBYT DOWCIPNY NA PARNAS

Polacy kochali Głowackiego.
Ale zaczęli go szanować jako artystę,
dopiero gdy Amerykanie dali mu glejt,
że jest prawdziwym pisarzem.
Autor „Kopciucha” zmarł 19 sierpnia

TEKST PIOTR BRATKOWSKI

Letni, słoneczny ranek. Dwaj mężczyźni idą niewielką, żoliborską uliczką. Na ramionach mają torby z rakietami do tenisa – znak, że zmierzają na pobliskie korty Spójni. Starszy z mężczyzn to ojciec mojej młodszej o dwa lata koleżanki. Jest najślawniejszym mieszkańcem tej uliczki. Jakieś 10 lat wcześniej wydał powieść o AK-owcach, którą czytała cała Polska. Jeszcze minie trochę czasu, zanim zwiąże się z obozem władzy na tyle, by pisać propagandowe teksty publicystyczne. Na razie Roman Bratny (to jego literacki pseudonim, jeszcze z czasów AK-owskich), mimo że ma dopiero czterdzieści kilka lat, jest żywym klasykiem. Tytuł jego najgłośniejszej książki – „Kolumbowie” – na zawsze przeniknie do potocznej polszczyzny jako symbol pokolenia.



Ale mnie, kiedy 11-, może 12-letni patrzę na tych mężczyzn przez okno, bardziej interesuje młodszy z nich. Jeszcze nie ma trzydziestki i dopiero za rok czy dwa wyda pierwszą książkę, niezbyt gruby zbiór opowiadań obyczajowych. Ale jest niemal skazany na sukces: po błyskotliwych opowiadaniach i felietonach publikowanych w prasie otacza go aura największej nadziei młodej literatury polskiej. Największej – może obok jej cudownego dziecka Krzysztofa Mętraka. Mężczyzna z rakieta jest w dodatku starannie wystylizowanym przystojniakiem, podobającym się kobietom, trochę przypomina budzących chłopięcy podziw młodych mężczyzn jeżdżących na skuterach Lambretta i opatrywanych przez moich rodziców wzgardliwą etykietką: playboye. Patrząc przez okno, myślę sobie: a więc tak wyglądają młodzi pisarze? To ja proszę bardzo!

Gdy Janusz Głowacki wyda w końcu debiutancką, wyczekiwaną „Wirówkę nonsensu” (1968), Krzysztof Mętrak napisze pierwszą recenzję. Będą się przyjaźnić przez wiele lat. Gdy w sierpniu 1993 r. Mętrak umrze, przed pięćdziesiątką i bez wielkiej powieści współczesnej, o której słuchy chodziły przez całe jego dorosłe życie, Głowacki skomentował twardo: „Zniszczyły go PRL, alkohol i wielki talent”. Powtarzał to wielokrotnie i rozszerzał tę diagnozę na całe swoje środowisko, całe pokolenie literackie: „Siedzą po knajpach, chleją, zamiast pisać i skarżą się, że ich nikt nie docenia”.

Ale to już było po światowych sukcesach dramaturgicznych Głowackiego; patrzył na polski grajdoł literacki z nowojorskiej perspektywy. Zaś gdy patrzyłem przez okno, jak idzie na tenisa, był dopiero wschodzącą gwiazdą tego grajdołu: mieszkał czy też pomieszkiwał u Romana Bratnego ze względu na romans z siostrą bliźniaczką ówczesnej żony autora „Kolumbów”.

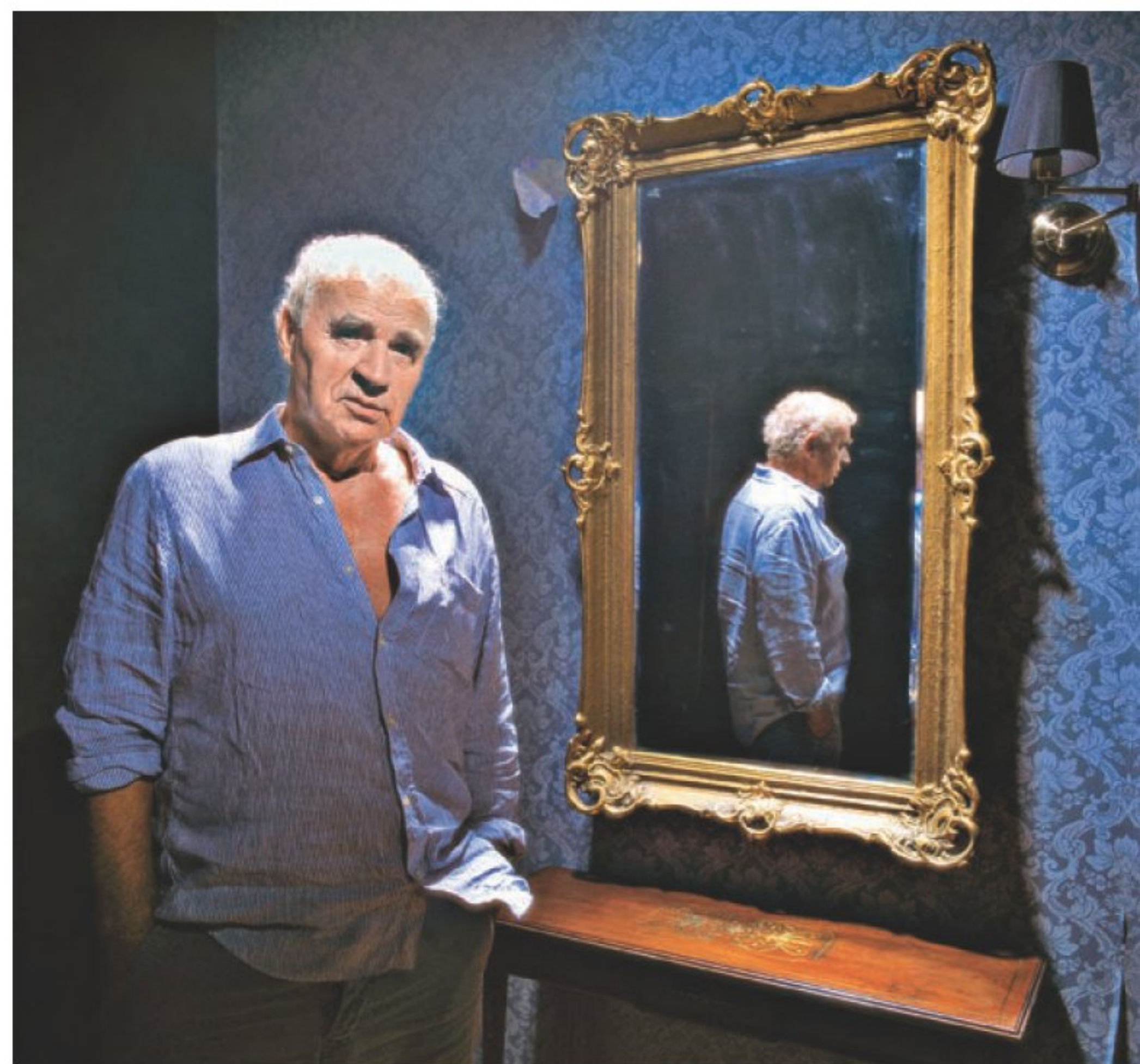
I

MICHAŁ WITKOWSKI, pisarz skandalista, autor m.in. słynnego „Lubiewa”: „Spośród wszystkich pisarzy był mi najbliższy. Nauczyłem się od Niego mnóstwo, grałem już w liceum w jego »Kopciuchu«, uczyłem się ironii, podejścia do życia, On jeden rozumiał moją potrzebę glamouru, On na pytanie dwutygodnika »Viva!«, kto jest jego uczniem, powiedział – Witkowski i mieliśmy wspólną sesję »mistrz i uczeń«. (...) Sam uwielbiał glamourne strony życia, a jednocześnie był wspaniałym pisarzem, jeden z niewielu pisarzy, których śmierć odebrałem jako osobisty policzek od losu i ryczałem”.

Krystyna Janda: „Janusz! Janusz! Niemożliwe! Nie ma Cię nagle! Cyniczny uśmiech, luźny chód, odpięta koszula, głowa pełna przenikliwych, często gorzkich myśli i gorące, gorące serce ukryte jak najgłębiej, dla niepoznaki. Żegnaj”.

Andrzej Luter, ksiądz zaprzyjaźniony z Głowackim: „Nie potrafię tego nawet napisać: Janusz Głowacki nie żyje. (...) Tylko Janusz potrafił tak komentować rzeczywistość – w sposób ironiczny, pesymistyczny i optymistyczny naraz, w jednym zdaniu, w krótkim dialogu; potrafił ukłuć mocno, ale dowcipnie i inteligentnie. Tak, w jego pisaniu było coś z gogolowskiego: Z kogo się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie”.

W czasach portali społecznościowych i plotkarskich żegnania zmarłych się banalizuje. Zwłaszcza zmarłych o głośnych na-



„SIEDZĄ PO KNAJPACH, CHLEJĄ, ZAMIAST PISAĆ I SKARŻĄ SIĘ, ŻE ICH NIKT NIE DOCENIA” – TAK KIEDYŚ OPISAŁ ŚRODOWISKO LITERACKIE

zwiskach. Każdy rozpacza, każdy okazuje się ich kumplem lub w najgorszym razie wielbicielem. Po śmierci Głowackiego było inaczej. Nie dość, że opłakiwali go – szczerze – ludzie z przeróżnych parafii, to nawet powielane na setkach facebookowych profili emocjonalne „nie wierzę” brzmiało wiarygodnie.

Bo o 79-letnim pisarzu w ogóle nie myślało się w kategoriach śmiertelności. Podejrzewam, że w dużej mierze sam to sprawił: chętnie (przynajmniej do pewnego momentu, w ostatnich latach życia często odmawiał, tłumacząc, że mu się nie chce) wypowiadał się publicznie, udzielał wywiadów. Kiedy jednak rozmowa schodziła na kwestie zalatujące nie tylko patosem, ale i większą powagą, zwykle jak jeź w kolczastą skorupę związał się w pancerz ironii, jakby obawiał się, że ton wysoki – przynajmniej w jego wykonaniu – może trącić obciachem. I psuć jego wizerunek króla sarkazmu. Pod tym względem nie był uszyty z polskich tkanin. Indagowany przez miesięcznik „Więź” w ankiecie dotyczącej dobra i szlachetności, napisał: „Przyjemności żyją po śmierci. Polacy

są ciągle zmartwieni, zamiast czerpać z życia, ile się da. Dzięki bogactwu ludzkiej natury każdy coś dla siebie znajdzie. Przyjemności są proste i skomplikowane. Zależą od płci, pory dnia albo nocy i tego, czy się ma przyjemność pojedynczo, czy w większej grupie. Jak wiadomo, jedni lubią czytać Prousta i zastanawiać się nad sensem istnienia, inni wolą wepchnąć staruszka pod samochód albo chociaż pobić żonę. Niektórym sprawia przyjemność dawanie dobrych rad, innym – dawanie złych przykładów. Z własnego doświadczenia wiem, jak mi się przyjemnie gardzi czymś, czego rozpaczliwie pragnę, a w żaden sposób nie mogę dostać”.

Nie umiał i nie chciał być ani nauczycielem narodu, ani moralistą.

II

Może właśnie dlatego, choć wszyscy Głowę uwielbiali, jego czyisto artystyczny sukces w Polsce był mocno dwuznaczny, pełen paradoksów. Różnej natury, od spraw czysto formalnych począwszy. Otóż wszystkie właściwie, niezbyt zresztą liczne, nagrody literackie (o odznaczeniach państwowych nie wspominając), jakie Janusz Głowacki otrzymał w Polsce, przyszły, gdy był już obsypany prestiżowymi nagrodami zagranicznymi. Pierwsze z nich otrzymał w Wielkiej Brytanii za „Kopciucha” (powstałego jako swoisty efekt uboczny współpracy z Markiem Piwowskim przy filmie dokumentalnym „Psychodrama”). „Kopciuch”, mający w Polsce marne notowania – po latach Głowacki wspominał, że sztuka miała opinię słabo napisanej – został w 1982 roku uznany za najlepszy utwór dramatyczny roku i przez „The Guardian”, i przez „The Time”. Potem, przy okazji kolejnych dramatów, przyszła cała seria nagród amerykańskich (i kilku francuskich). I nie minęło od pierwszych honorów dla pisarza 20 lat, gdy wreszcie „Czwarta siostra” została nagrodzona na polskim festiwalu dramaturgii współczesnej. Tak, jakby honorowanie tego wiecznego zgrywusa stało się możliwe dopiero po potwierdzeniu jego pisarskich zaszczytów.

Nie dotyczyło to tylko oficjalnych zaszczytów, także – środowiskowej, intelektualnej recepcji. Pracujący na szybko dziennikarze internetowi popełniają rozmaite błędy, niektóre bywają jednak znamienne. Otóż w pierwszych doniesieniach o śmierci Głowackiego przedstawiano go jako „scenarzystę i dramaturga”, pomijając w ogóle fakt, że pisał prozę. Otóż – powiedzmy to szczerze – każda książka autora „Z głowy” była wyczekiwana przez czytelników i krytyków i niemal po każdej słyhać było uprzejmy niedosyt.

Przy pierwszych dwóch książkach marudzono, że błąha „oby- czajowa” i pytano, kiedy wreszcie młody pisarz zamiast „opowiadaniek” da czytelnikom porządną powieść. Kiedy zaś Głowacki po latach powieść napisał (i nawet wydał w podziemnym wydawnictwie), pojawiły się głosy, że to zmarnowana szansa. Pisarz, który czas strajków 1980 r. spędził w Stoczni Gdańskiej (co samo w sobie było gestem zaskakującym jak na faceta z łatką „starego cynika”), nie napisał bowiem eposu Solidarności, lecz ironiczną jak zwykle, psychologiczną książkę o mechanizmach konformizmu i kolaboracji.

Po latach widać wyraźnie, że „Wirówka nonsensu” i „Nowy taniec la-ba-da” to świetny portret warstwy (będącej gdzieś na styku władzy i reglamentowanego przez nią prywatnego biznesu),

która w czasach gomułkowskiej małej stabilizacji próbowała – zgodnie ze słowami Kisiela – „urządzić się w dupie”. Zaś marginalny z punktu widzenia historii heroicznej wątek, któremu Głowacki poświęcił powieść „Moc truchleje”, okazał się na lata jednym z głównych wątków polskich rozgrywek politycznych.

Ale jak na standardy polskiego panteonu Głowacki pisał zbyt zręcznie, zbyt przystępnie (choć czasem ta przystępność była tylko pozorem) i zbyt dowcipnie. Nawet z felietonami bywał kłopot. Gdy w 1969 r. w jednym z nich Głowa ośmieszył propagandową, antysemitką powieść Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Głupia sprawa” – wychwalając rzekomy kunszt autora pod niebiosa – część czytelników wzięła szyderstwo za dobrą monetę. I autor – jak później wspominał – dostawał listy ostrożnie sugerujące, że może jednak porównanie do „Ulissesa” jest trochę na wyrost.

Polska naprawdę miała kłopot z książkami Głowackiego. Obsadzono go w roli zabawnego „aneddotczika”, uznano, że kogoś takiego nie sposób nie lubić, ale poważnie traktować trudno. Kiedy zaś z tej roli Głowacki się wyłamywał (a robił to nie tylko w dramatach), stosunek Polaków do jego twórczości jakby robił się chłodniejszy. Żądano grepsów, które jednak zarazem w oczach opinii literackiej spychały go do roli „pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego”. W efekcie, gdy pisarz umierał, najczęściej żegnano go jako scenarzystę kultowego „Rejsu” i autora „Z głowy”. Choć ze wszystkich zalet filmu Marka Piwowskiego scenopisarska maestria była bodaj najmniej ważna. A „Z głowy” było – fakt, mistrzowskim! – aneksem do całej pozostałej jego twórczości. Takim bonusikiem.

III

Mając matkę redaktorkę w wydawnictwie książkowym i ojca drugorzędnego autora kryminałów, wcale nie chciał zaczynać od literatury. Raczej zapatrzony był w karierę wuja, Kazimierza Rudzkiego, niezwykle wtedy popularnego aktora i estradowca. Poszedł do szkoły teatralnej, z której wyleciał po pierwszym roku za – jak wspominał – „całkowity brak talentu”. Koledzy dawali, że może by tam i przetrwał, gdyby tak bardzo nie rwał się do śpiewania, bo słuchu nie miał za grosz. Studiując polonistykę, nadal spoglądał w stronę estrady, udzielając się w tanecznym zespole rockandrollowym (cokolwiek to było), działającym przy Teatrze Hybrydy. Moda na takie zespoły szybko minęła, więc w końcu wziął się do pisania.

Trzydzieści lat później, już po „Antygonie w Nowym Jorku” i wszystkich innych fetach, spotkał w Warszawie estradowego i operetkowego śpiewaka przedwojennego jeszcze chowu, Stefana Witasę. Witasowi działalność pisarska Głowackiego umknęła i spytał: „Coś pana ostatnio nie widać, gdzie pan teraz tańczy?”. „Na Śląsku” – odparł bez wahania pisarz. „Słusznie – pochwalił go stary estradowiec – tam zawsze jest dobry rynek”.

Głowacki przytoczył tę historię w książce „Z głowy”. A może nawet trochę zmyślił na użytek autobiografii? Cały on, z totalnym dystansem do rojeń o wielkości i ekscytowania się własnym sukcesem. ■

piotr.bratkowski@newsweek.pl